

Dziennik Ural 2012 czyli Raport Andrzeja Błażewicza

"Tu otwierał się inny, odrębny świat, do niczego niepodobny; tu panowały inne, odrębne prawa, inne obyczaje, inne nawyki i odruchy "

–Fiodor Dostojewski „Zapiski z martwego domu”-

20 lipca

Godzina 2: 30 czasu ichniejszego, znaczy miejscowego, ruskiego, carskiego, z Bohu łaski. Morale dość dobre, choć Filipperro biadoli, że pojeść nie może i zacne grono oficerskie o wytłumaczenie tego stanu rzeczy pokornie prosi. Część załogi śpi w oczekiwaniu na pociąg do innego pociągu, który zawiezie nas na pociąg. Tak w skrócie. Składam obietnicę kontynuowania tego prześwietnego raportu!

21 lipca

Pisząc słowa tego prześwietnego raportu siedzę już w pociągu na 1100 km drogi do celu. Po przejściach z biletyma i pomocy Rosjanki, która na zapleczu magię uczyniła drugi bilet drukując, jedziemy. Spanie dobre, choć zaburzony system dnia: spanie, jedzenie, spanie, jedzenie. Sąsiedzi Rosjanie mają zdecydowanie ciekawszy: picie, picie, picie, picie, krótka przerwa na spanie, picie, picie, picie, spanie. Wódka leje się acz kulturalnie, ze szkła i przy stole, bez burd, wrzasków nawet śpiewów. Nade mną Wiciu za mną Przemek i tak jakoś dalej herby Tomka i Filipa Dzielnickich, Aleksandra Łężniak, Czesława z Domareckich i Artura z Iluków na koniec. W kolei rosyjskiej rozwiązania iście europejskie. Fekalia wyrzucać z siebie można dopiero kilkanaście kilometrów za miastem w specjalnych zonach, a u nas w Polszy swawola. Za oknem wciąż leje, choć poznani pociągowi przyjaciele gadają, że w Workucie 30 stopni Celsjusza! Podróż nawet się nie dłuży, cały wagon już znany! Turisty! Rusczy nas do picia zapraszają, ale grzecznie odmawiamy widząc jak wyciągają 10 z kolei butelkę, by opróżnić ją bez mrugnienia okiem. Mimo to rozmowa klei się doskonale. Tylko za oknem tak jakoś jasno, spać się nie chce. „A u was w Polszy krasne drogi macie!”

22 lipca

No i zaczęło się. Na początek w Siejdzie (diabli wiedzą jak to się pisze, więc piszę jak się słyszy) przesiadka na nasz właściwy pociąg wiozący nas na 110 km tak to nie pomyłka, to miasteczko duchów (jak się później okazało straszycie bez nazwy na 110 kilometrze torowiska. Istny Prypeć). Ale nie o tym chciałem. Przesiadka w minutę, jak w filmach akcji. Ledwo bilety zakupione (oczywiście odpowiednia kontrolna dokumentów nastąpiła, Bóg zapłać ludzi przepuścili nas w kolejce) długa do pociągu, dawaj szukać wagonu numer 21, notabene na szarym końcu! Udało się! W końcu po trzech godzinach drogi jesteśmy na 110 kilometrze. To już Azja! Oczy zrobiły się skośne. Prawdziwe uralskie powitanie, tuż po wyjściu z pojazdu. Deszcz przyprawiony komarami, z tym, że tego drugiego jest tyle, że trudno odróżnić od kropel wody. Apokalipsa! Zeżreć to nas tylko by chciało. I tak doszliśmy gdzieś na pierwszy biwak, po Uralskich bagniskach czując na plecach komarzy bat goniący do przodu, gdyż stagnacja zwiększa ryzyko wykrwawienia. Czy raczej odessania krwi. Choć staram się by treść tego raportu była jak najbardziej formalna trudno jest mi się ustrzec narracji humorystycznej, za co z góry przepraszam. Aha, wnoszę o ustawowe wypędzenie komarów z terenu Uralu. Wniosek do rozpatrzenia na kolejnym tajnym posiedzeniu KGB, GRU lub innego tam organu bezpieczeństwa. Tfu! Bezpieki!

23 lipca

Dzisiaj poszliśmy szlacheckim zwyczajem husarii najpierw powoli. Śniadanko, zwijanie namiotu, gdzie jest GPS?, rozwijanie namiotu, zwijanie namiotu. Eh, taki żywot. W kość dają nam trawy niezeżarte zawczasu przez dinozaury. Mokra buty, mokre spodnie, mokre wszystko. Tak idziemy trochę zygzakiem, skosem i przed siebie, brodząc przez strumyczki, bagna i trawy. Po drodze napotykamy morożki (pyszne owoce wyglądem przypominające maliny tylko, że żółte) całe pole, więc dawaj to zajadać, trudno pysk od takich delicji oderwać. Pięknie. Z czasem pogoda coraz lepsza. Gdy dobijamy do obozu rozpalamy ognisko żeby przesuszyć ubrania. Zrobiła się prawdziwa wyprawa!

24 lipca

Ruszamy tym razem już szybciej, zadziorniej jakoby na kozackie biesy. Schodzimy do rzeki i dawaj ją przekraczać. Zimno jak psi! Nogi urywa przy samej głowie. Ostro pod górę poczęliśmy wyciskać po raz pierwszy tak mocno i pod takim kątem. Z nieba wali na nas słońce, ale co rusz pojawiają się chmurki a na horyzoncie już nie ciekawie w zupełności. Po walce ze zboczem zdobywamy rozległą przełęcz. Uff! Wlać w siebie wodę z dodatkiem czegoś, co lepiej nawadnia (woda w proszku?) To jednak konieczne, bo woda w rzekach jest tak czysta, że aż jałowa. Trawers zbocza, na które się kierujemy przysparza nam wiele kłopotów. Trzeba uważać, co by się noga nie omsknęła i za sobą dalszych partyj ciała nie pociągnęła. Kompania troszku zmęczona, choć wysokość zaledwie 800m.n.p.m. Tyle, że pokonane przewyższenie prawie 600 metrów. Ostatecznie docieramy do jeziora skrytego między stokami gór. Widok fantastyczny, nad nami wiszący lodowczyk. Wieje jak w kieleckim! (kurczę nigdy nie byłem w kieleckim! Wybrać się trzeba!) Kąpiel jednak wciąż pod znakiem zapytania. Po trzynastu godzinach łożenia liofilek smakuje wybornie.

25 lipca

Dzisiejszy plan: Dojście od jeziora do jeziora i to potężnego, bo chyba największego na naszej trasie, Z początku po poziomicy i kamordolach. Trudno przewidzieć czy następny jest stabilny, czy wróży sromotny lot w dół. Tak powoli, powoli schodzimy ogromnym gołoborzem do przepięknej rozlazłej doliny. Przed nami pola morożek! Popas! Znajdujemy narty i zabawki prawdopodobnie po Nieńcach. Po długotrwałej walce z wierzbami(małymi, ale upierdliwymi jak diabli i gęstymi krzakami) docieramy! Bajka! Jezioro Esto-tok przytłacza urokiem. Słońce... Nie chyli się ku zachodowi... Gdzie ten romantyzm?!

26 lipca

Light. Cola light. To znaczy, że zostajemy przy jeziorze. Dobrze. Chwila odpoczynku dla nóg, ramion i ogólnie machinerii cielesnej. Dzień zaczynamy od porządnej kąpieli. Woda stwierdzam, potwierdzam i nie zaprzeczam mokra!

Przy tym pieruńsko zimna, ale chociaż będziemy czyści. Ręcznik i do namiotu. Brrr! Wygrzać się w śpiworze i heja śniadanie. Po napełnieniu brzuchów udajemy się na drugą stronę jeziora. Tam jakaś buda przypominający stary wóz cyrkowy. Obok rozpadający się skuter śnieżny (tylko trochę zardzewiały). W środku budy luksus. Trzy łóżka, dwa piece, stół. Ciekawe, co tu się dzieje gdyż butelki po wódce walają się gęsto. Po powrocie do bazy udaję się z Wiciem na polowanie na Morożki. Znalezione, zebrane. Uwaga! Niezjedzone. Zrobię z nich zupę jagodowomorożkową z kisielem. Na drugim brzegu jeziora dostrzegamy obozowisko Nieńców jakieś pięć kilometrów od nas. Trzy duże czumy. Widok przytłaczający.

27 lipca

Rano stwierdziłem, że od morożek przerwa. Wystarczy mi ich na dobre trzy dni, po mojej magicznej zupie, przy której sok z gumy jagód to zwykła lura. Przedostaliśmy się na drugą stronę jeziora, gdzie na chwilę zalegamy na kamienistej plaży rodem z Chorwacji. Kompania zaczyna zabawiać się kaczkami niczym francuska arystokracja z lubością puszczać. Jako zdający ten raport stwierdzam, iż jest to czynność wysoce uzależniająca, czego doświadczyła też moja osoba. Po sprawnym opanowaniu sytuacji przez osoby, które akurat nie brały udziału w tym niecnym szaleńczo-histerycznym procederze ruszamy dalej. Naszym celem jest przedostanie się do doliny po przeciwnej stronie gór. Po drodze spotykamy pierwszych ludzi na naszej drodze. Rosyjskich wędkarzy. „Amerykańce? Francuzi? Germańce?” –My z Polski! „A! Bracia Słowianie!”. Rozmowa o wszystkim i o niczym. „Wędkowanie, turysty, czto je to?”, ściskamy przyjacielsko ręce i idziemy dalej. Zaznaczyć należy, że poruszamy się prawdziwą drogą. Taką na dwa koła! Doprowadzi nas ona do ogromnego rozlewiska, przy którym spędzimy trochę czasu brnąc po kolana w wodzie. Bum! Zaskoczenie! Filmować! Zdjęcia! Fotorelacja! Kamery! Wywiady! Napotykamy renifera, a po pięciuset metrach całe stado z wraz z pasterzem i sabakami. Odchodzimy nie zapoznawszy się by nie przeszkadzać mu w pracy. Na koniec dnia docieramy do głównej drogi wiodącej przez dolinę aż do Harwieja(dawnego gułagu). Śpimy tuż przy nawpółżyjącym moście. Na kolację 3 różne zupy grzybowe i dalej jak te żabojadzkie konesery próbować, kosztować, smakować, pysiu, pysiu, cium, cium, rumcium, mniam, mniam.

28 lipca

Technicznie chyba najprostszy dzień wyprawy. Do przejście piętnaście kilometrów, ale autostradą. Droga szeroka jakobyśmy byli w Germanii. Natrafiamy kolejno na trzy rzeki wymagające zdjęcia butów, co jest nieco irytujące i całe mnóstwo innych, na których montujemy prowizoryczne mosty. Po pięciu godzinach marszu jesteśmy w Harvieju. Opuszczonym gułagu z odkrywkową kopalnią Molibdenu. Pełno urządzeń, dwa wejścia do kopalni, wieża odkrywkowa, kolejki, szyby. Dwie tablice pamiątkowe. Udaję się na grzyby i tuż przy namiocie napotykam ogromnego kozaka, niestety niezjadliwy. Wszyscy trochę tacy zadumani

29 lipca

Po przejściu chyba najszerszej, najgłębszej i najbardziej rwącej rzeki jak do tej pory wspinamy się w górę, w kierunku bocznej dolinki odchodzącej od Harvieja. Między skałami dostrzegamy piękne wąskie jeziorko. Chaszczory nieco dają się nam we znaki. Nogi poharatane. Odnotowane. Zdobywamy punkt wypadowy, zakładając bazę mniej więcej w środku doliny. Pisząc słowa tego raportu grzeję się w namiocie, Filip z Olkiem udali się na rekonesans. Jutro pierwszy atak! Zdobywamy szczyty!

30 lipca

Ósma rano pobudka. Należy spakować to, co niezbędne, plus dużo wody i coś do przegryzienia. Jak najbardziej wodoodporne. Ruszamy. U podstawy góry czekają na nas trawki, którymi zręcznie przemykamy między kamordolami zdobywając wysokość. Ostatecznie zmuszeni jednak jesteśmy do władowania się w skałę. Po męczącej walce ze zboczem osiągamy grań. Tomasz decyduje się na zejście do bazy, w której został Artur. Pierwszy boryka się z bólem biodra, drugi kuruje nieco zajechane pięty. Razem z Przemkiem, Filipem, Olkiem, Czesławem i Wiciem wspinamy się granią na pierwszy szczyt 975, 9m.n.p.m. Zaczyna się jazda. Wiatr osiąga zabójczą prędkość, a nas ze wszystkich stron zalewają gęste chmury. Mleko. Pniemy się dalej w górę, bacząc na każdy krok by nie znaleźć się na dnie przepaści. Udało się! Jesteśmy 1218 metrów nad

poziomem morza! To jak na razie najwyższy osiągnięty cel. Choć liczbowo nie jest to dużo, z poziomu bazy (462,2m) to prawie 800 metrów przewyższenia. Z powodu złych warunków pogodowych (nie przejaśnia się, a wiatr przybiera na sile) rezygnujemy ze zdobycia Hanmeja (1333,8m) i powoli zaczynamy powrót do bazy. Schodzimy stromym żlebem, kamienie są dziś jeszcze bardziej zdradliwe ze względu na wilgoć. Po ponad trzech godzinach szczęśliwie jesteśmy w obozie. Teraz tylko nazbierać grzyby do zupy, jagody na śniadanie i spać.

31 lipca

Budzę się dokładnie 4: 02, wiatr ugina nasz namiot tak, że ścianka kładzie się nam na twarze. Pada. Leje. Przerwa. Znowu leje. 8:00 Pada. Przerwa. Wieje. Leje. Wygląda na to, że dziś nic nie zdziałamy. Leżymy w pałatkach zabawiając się intelektualne gry i zabawy. Największa frajda jest z grą „państwa miasta”, kiedy namioty drą się nawzajem do siebie o to, kto był pierwszy. Walka. Pisząc ten raport muszę się nieskromnie pochwalić, że wygrałem z Filipem 2: 0 w kółko i krzyżyk. Zaczynam karierę zawodową! Około godziny 14: 00 mimo niesprzyjających warunków postanawiamy z Filipem zaatakować. Po przeprawie przez rzekę wspinamy się na szczyt o wysokości 1050,2m. Mimo wyraźnego przykazania byśmy nie rzucali się dalej w szaleńczy marsz po zdobyciu góry, idziemy dalej płaską jak boisko do piłki nożnej granią, Po drodze zdobywamy jeszcze szczyk 938,8m.n.p.m. Na dole w bazie grzybowe rewolucje. Jako zdający raport zmuszony jestem stwierdzić nadużycie tego specyfiku i fatalne tego skutki. Co za dużo to niezdrowo.

01 Sierpnia

Rano na hafty się zdało. Ale tak bywa, gdy je się grzyby na kanapce, grzyby z liofilizatem, zupę grzybową i grzyby z grzybami. Niczym Baba z krewetkami w Foreście Gumpie! Ale bolące brzuchy nie przeszkadzają nam w piłowaniu kolejnych kilometrów. Myślę, że choć od jutra licząc do końca wyprawy (część górską) pozostało całe cztery dni to śmiało mogę stwierdzić, że zaczęliśmy powrót do torów. Najwyższe szczyty już za nami. Wbijamy się w uroczą, wąską

dolinę i powoli poruszamy się po rumowiskach. Stosunkowo jedyna możliwa droga sprowadza się do koryta rzeki. Na szczęście jest ono na tyle kamieniste, że nie sprawia to problemu. Krajobraz bajkowy. Tak spokojnie upływa nam dzień, czasem słońce czasem deszcz. Niebo pochmurne i cały czas towarzyszy nam silny wiatr. Namioty rozbijamy tuż nad rzeką, ale w osłoniętym miejscu między drzewkami, na których widok wszyscy popadają w euforię. Realne drzewa, nie plastikowe! Wieczorem handel wymienny jedzeniem. Prawdziwy bazar! Zupki na kisiele. Liofile na zupki. Batony na kaszki. Kto da więcej? Wyrastamy tu na prawdziwych biznesmanów. Każdy kładzie się z przeświadczeniem, że zrobił niezły interes! Może przyjemniej będzie się jutro zdobywać szczyty.

02 Sierpnia

Nic nie zapowiadało tego, co dziś przeżyliśmy, czego doświadczyliśmy, doznaliśmy czegoś, co wręcz można by nazwać doświadczeniem metafizycznym. Wstaliśmy rano- leniwie. W zasadzie to słońce wyrzuciło nas z namiotów, przyjemnie ogrzewając zmęczone marszrutą oblicza. Jak zwykle kuse śniadanko, wspólne na trawce, a potem wołaj kogoś z mapą i pomyślmy, co by tu zrobić, gdzie się wdrapać, co zdobyć? Dzielimy się na dwa zespoły. Skład Wiciu, Filip, Olek, Czesław i ja uderzamy w nieco oddalone od nas szczyty. Uwaga! Bum! Cyk! Cyk! Zamieszanie. Krótka retrospekcja. Wstecz! 4:00 pobudka. Czo to je to? Stado reniferów przecina dolinę. Ogrom. Potęga. Uwaga! Bum! Cyk! Cyk! Wracamy w góry. Do podstawy ściany dobijamy się przez nasze ulubione haszczory. Idziemy tempem spacerowym z długimi przerwami na jagody. Ostatecznie zdobywamy szczyty 793m.n.p.m. i 746m.n.p.m. (baza na wys. 238m.n.p.m.). Na jednym z nich znajdujemy martwego renifera. Dziwna sprawa, że zapuścił się aż tak daleko. Schodząc w stronę bazy zauważamy obozowisko Nieńców położone bardzo blisko nas za lekkim wzniesieniem, jakieś 20 minut drogi. W bazie spotykamy się z Tomkiem i Arturem, którzy również zdobyli jedną z sąsiednich gór. Po chwili zjawia się Przemek, który pilnował dobytku i podniecony zdaje nam relację ze spotkania z Nieńcami oraz stadem reniferów dreptających między naszymi namiotami. Już za moment zjawiają się dwaj Nieńcy. Badamy się rozmową, lecz już po chwili siorbią z nami herbatę. Zapraszają nas do czumy! „Tam powiecie o reniferze na górze a my wracamy do

stada" Cała załoga wydaje się być mocno podekscytowana. Panuje ogólna euforia. Czesiek dobrowolnie zgłasza się do pilnowania pałatek, a my ruszamy na spotkanie z nieznanym. Wchodząc do obozu Nieńców nie napotykam nikogo. Wszędzie rozłożone sanie. Wesołe szczekające sabaki, na środku potężna czuma, z której na moment wychyla się kobieta, patrzy na nas badawczym wzrokiem, woła: Gosza!, z namiotu wynurza się dobrze zbudowany mężczyzna i rusza ku nam. Atmosfera dość napięta. Rozmawiamy o martwym reniferze, pokazujemy zdjęcia. Zaraz jednak słyszymy pojednawcze „Zachadzie?” Zostajemy zaproszeni do czumy. To dla nas duże wyróżnienie. W środku magia. Nie spodziewaliśmy się tego w najśmielszych snach. Skóry reniferów rozłożone wraz z kolorowymi poduszkami. Na środku niewielki piec z kominem. Dalej płachta z trzema prawosławnymi krzyżami a nad nią ikony świętych. Roześmiane dzieci. Kobiety ubrane w tradycyjne stroje (jak się potem okazało tylko te zamężne). Przyjemne ciepło. Przedstawiamy się całej rodzinie i zasiadamy na skórkach reniferów. Rozmawiamy o życiu. Naszym życiu. Ich życiu. „Jak to je w Polsce?” Jak to tu w tundrze na Uralu? Gęby ucieszone. Zdumione. Nie chcemy się narzucać, postanawiamy się zbierać. Nie ma mowy! Wypijemy razem czaj! Dopiero teraz zaczyna się prawdziwe przyjęcie. Na stół trafiają same smakołyki. Morożki w cukrze, gotowany renifer, suszony chleb, masło, bułeczki na słodko, bułeczki z mięsem renifera. Skondensowane mleko do herbaty! Atmosfera coraz bardziej swojska. Gosza częstuje starszyzną wódką. Roześmiani mówimy coraz to więcej o sobie. Dowiedziawszy się, że Filip skończył niedawno osiemnaście lat, gospodarz nalewa mu kieliszek wódki, wypijają go wspólnie, a zaraz potem Filip dostaje niesamowity podarek. Ząb niedźwiedzia. Kieł! Cały jest dumny, a my razem z nim. Choć Nieńcy mówią, że na spoczynek udają się dopiero około trzeciej nad ranem. Nie chcemy nadużywać ich gościnności. Dzieciom dajemy słodycze, a Goszy latarkę na korbkę. My na odchodne dostajemy nogę renifera! Jutro mają zwijać czumę i przenosić się dalej. Chcemy im w tym pomóc, więc umawiamy się na 13: 00 czasu moskiewskiego. Jeszcze raz: Spasiba! Balszoj Spasiba! Wracamy do bazy wciąż przecierając oczy ze zdumienia. Kolacja? Żadne tam wstrętne proszki! Pieczony renifer!

03 Sierpnia

Załamanie pogody. Wyjście z ciepłego śpiwora stanowi nie lada psychiczne wyzwanie. Na zewnątrz masakra. Wieje jak diabli. Cóż. Gosza mówił, że dzień(wczorajszy) Proroka Eliasza to definitywny koniec lata i od teraz, co pięć minut, śnieg, słońce, deszcz, śnieg to żadne zaskoczenie. Mimo ulewy ubrani po czubki głów ruszamy pomóc Nieńcom w składaniu obozowiska. Jednak nasze ciche spekulacje sprawdzają się. Z powodu pogody postanawiają zostać jeszcze trochę w tym samym miejscu. Wymieniamy przyjacielskie uściski, bierzemy adres ich stacji w mieście i obładowani tym razem dwoma potężnymi nogami reniferów wracamy do bazy. „Bo mięsa u was niet!” Bierzemy się od razu za przygotowania. Tomek zajmuje się oporządzaniem i przyprawianiem mięsa. Reszta pracuje przy ognisku, które rozniecić w taką pogodę to prawdziwa sztuka. Dziś w menu: pieczony renifer oraz gulasz z renifera z kaszą i warzywami. Po dwóch tygodniach jedzenia chemii jesteśmy wniebowzięci. Czujemy się napełnieni, spełnieni. Choć staram się by raport ten był jak najbardziej oficjalny jestem zmuszony napisać to, co napiszę. Z powodu warunków atmosferycznych postanawiamy spieprzać w stronę torowiska(słowo to najlepiej oddaje naszą sytuację.) Powinniśmy dotrzeć tam w jakieś dwa dni. Spać nie gadać!

04 Sierpnia

Jeśli to, co wczoraj nazywałem załamaniem pogody to dziś, do czynienia mamy z prawdziwym uralским ciasteczkiem pożegnalnym. W deszczu i wietrze zwijamy namioty i drogą zamienioną w rzekę, ruszamy. Po około dwóch godzinach marszu. Docieramy do jezior, przy których powinniśmy znaleźć drogę prowadzącą to torów. Takowej jednak brak. Po skonfrontowaniu sytuacji i mapą i GPS wybieramy dolinkę przy małym lodowczyku. Wspinamy się po kamordolach a wiatr wciska nam deszcz w twarz. Kluczemy między zboczami, często oglądając się za siebie, by nie zgubić kompanów we mgle. Gdy zawierucha nieco się uspokaja, jeszcze raz spoglądamy na mapę. Schodzimy wzdłuż rzeki do pierwszej w naszym wyjeździe lasotundry. Drzewa! Wszędzie potężne skupiska dorodnych grzybów, jagody wyglądają jakby prosto z bajkowej krainy wyjęte, ogromne i soczyste. Gdy zatrzymujemy się na krótką astanówkę, postanawiamy poszukać drogi, która powinna znajdować się tuż obok. Pięć kroków w bok... Jest! Teraz już szybciotko docieramy do jeziora

będącego naszym dzisiejszym celem. Mokra kurtka, spodnie, buty, mokry namiot, wilgotny śpiwór. Tak załatwieni robimy herbatkę i spać. Stop! Ach te wszystkie myśli zaprzatają mi głowę! Retrospekcja! Noc. Filip siedząc na mnie krzyczy przeraźliwie. -Co jest? „Renifer! Renifer nas atakuje!” Z początku nie wiem, co się dzieje. Potem śmiech. Skubany zwierz władował się nam do przedsionka. Wyczuł żarcie Filipa. Dawaj go odstraszać! Latarka. Tak dzikich dźwięków chyba nigdy nie wydawałem. „Trrrrrrrrriiiiiii! Prrriii!!!!!!!” Na szczęście z opresji ratuje nas Wiciu. Przeganiając renifera kijkami. „Oszołomy!” Kwituje ze śmiechem.

05 Sierpnia

Żegnajcie nam dziś uralskie szczyty. Wstajemy bez chęci. Z ociąganiem gotujemy wodę na śniadanie. To w zasadzie koniec. Koniec. Krótka przebieżka do torów. Już ostatnie przejście przez rzekę. Ostatnie układanie przepraw z kamieni. Po tych torach iść tak ciężko. Jakże smutno i beznamiętnie. Docieramy do stacji Sov. W porównaniu do 110km luksusy. Zadbane domki, odremontowana stacja. Suszymy rzeczy patrząc z zapamiętaniem w błękitne niebo Rozbijamy namioty nad rzeką, gawędzimy z kajakarzami. Tuż obok nas niesamowity most trwający na słowo honoru.. Podchodzi do nas mężczyzna twierdzący, że budował go trzydzieści lat temu. Dwadzieścia rubli za przejście. Po co tam przechodzić? „Na griby, jagody” Dodatkowo wyciąg narciarski, by nie było, też przechodzący przez rzekę. Podobno cała Europa się tu zjeżdża! Chyba na sanki, ale zawsze. Wieczór. Zachodzące słoń... cofnij! Nie będzie tak wspaniale. Jutro pociąg wiozący nas do domu. Jednak jakaś częśćka mnie w tym uralskim świecie zostanie.